№ 20. Piątek, dnia 12 Lutego 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia (31 stycznia) 12 lutego 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

CYFROWSTRĘT.

(K. J.) Dziesięć znaczków zestawionych z sobą w różnych kombinacyach, zawiera wiele pouczających dla człowieka wskazówek. Nie mamy tu na myśli ważności roli, jaką grają cyfry w wyższej matematyce, astronomii, mechanice i w ogóle naukach ścisłych—tam bowiem cyfra jest środkiem, z pomocą którego umysł ludzki dochodzi do rezultatów wielkich i zadziwiających. Tam cyfra mierzy odległość światów innych, oblicza ich bieg, wreszcie wskazuje siłę motoru, a maszynę czyni posłuszną woli człowieka.

Nie o tem jednak mamy mówić. W drobnych powszednich sprawach życia, cyfra ma ogromną i niesłychanie ważną doniosłość. W ekonomii rodzin i pojedyńczych indywiduów, jest ona wskazówką wymowną, mogącą bardzo wiele nauczyć, na wiele dobrych dróg naprowadzić. Chcielibyśmy wykazać, że systematyczne i porządne prowadzenie rachunków, przynosi bezpośrednią korzyść materyalną, jasno i zrozumiale daje poznać rzeczywisty stan interesów.

Mówią, że żyjemy dzisiaj w czasach cyfr. Powiadają, że każdy liczy, a nawet myśli i uczucia swoje do liczb stosuje. Tak mówią, ale w rzeczywistości ignorujemy rachunki — do cyfr czujemy pewien wstręt wrodzony. I tą wadą dotknięta jest znaczna większość naszego społeczeństwa. Naturalnie wyjątek w tym razie stanowi stan kupiecki, przedsiębiercy i spółki, ponieważ ci muszą prowadzić książki, do czego prawo nawet ich obowiązuje. Ale ziemianie prowadzący gospodarstwo rolne, rzemieślnicy, (w pewnej części) urzędnicy, oficyaliści, cała słowem średnia klasa nie wie o tem co wydaje, na co wydaje i cyfry wystrzega się jak ognia.

— Jaki też procent przynosi panu dobrodziejowi majątek—pyta jegomość mający chęć kupna.

— Doprawdy, — odpowiada zapytany—nie umiem no to dokładnie odpowiedzieć.... bo nawet trudnoby mi było obliczyć...

— Ależzapewne—indaguje dalej pierwszy—musi szanowny pan dobrodziej, utrzymywać jakieś księgi, chociażby dla swojej własnej ciekawości, czy też opłaca się praca i nakład?

— No tak, zapewne znalazłyby się tam w papierach jakieś notatki, ale jeśli mam panu szczerą prawdę powiedzieć—to te książki, to rzecz piekielnie nudna; a przytem, jak się człowiek cały dzień nachodzi, to niema już i ochoty do tego. Zresztą cóż mi z tego przyjdzie, że zapiszę wydatek, czy przez to wróci mi się wyłożony fundusz?

Takie mniej więcej rozumowanie daje się słyszeć bardzo często, i naturalnie wobec istnienia podobnych przekonań, nie należy się dziwić, że buchalterya panów uprawiaczy ziemi i producentów zboża nie jast w stanie kwitnącym. Nie należy dziwić się również, że żaden prawie z nich nie jest w możności oceienia wartości ulepszeń, ponieważ nie wie jaką one korzyść przynoszą. Nie mając cyfr ani porządnie prowadzonych regestrów, nie mogą wiedzieć rzeczywistego stanu interesu, nie mogą przewidzieć możliwych korzyści lub strat.

Są w prawdzie majątki duże, gdzie sam właściciel nie gospodaruje, ale zarząd majątku powierza administratorom i rządcom—są majątki, w których istnieje administracya stała—tam więc rachunkowość istnieje, ponieważ jest niezbędną dla uregulowania stosunków pomiędzy właścicielem i zarządcami jego własności. A chociaż o tej rachunkowości możnaby dużo i bardzo dużo powiedzieć, jednak świadczy ona o pewnym, chociaż względnym porządku i ładzie....

Jednak, jak to wiadomo, majątków takich u nas nie ma zbyt wiele — najwięcej jest majątków średnich, gdzie sam właściciel zajmuje się tak częścią agronomiczną jak i administracyą — a nie będąc zmuszonym do zdawania komu rachunków, nie prowadzi ich zupełnie i położenia swego nie zna.

Te słowa nie wydadzą się przesadą, tym którzy mieli zetknięcie ze światem wiejskim. Jest to objaw nader smutny, tym więcej, że gospodarstwo rolne, jako główne bogactwo naszego kraju, jako źródło handlu wywozowego, wymaga bacznej uwagi społeczeństwa, potrzebuje ciągłych doświadczeń na drodze melioracyi i powinno dawać wskazówki właścicielom co do praktycznej korzyści wielu nowych odkryć w tej dziedzinie przemysłu.

Te wskazówki można otrzymać jedynie z pomocą systematycznej i porządnej rachunkowości. Cyfra tylko może bowiem wykazać więcej lub mniej korzystny obrót kapitału, procent od włożonych nakładów. Ona bezstronnie opowie stan interesu, wskaże straty, a tem samem nauczy, że ta lub owa innowacya jest niekorzystna, — inna zaś dobra i praktyczna.

Sądzimy, iż niepotrzeba być ekonomistą na to, aby użyteczność rachunków dostatecznie ocenić; nie potrzeba wertować Milla, ani Smitha, aby przyjść do przekonania, że w gospodarstwie, tak jak i w każdem przedsiębierstwie porządna rachunkowość jest rzeczą niezbędną i niesłychanie ważną.

Jeżeli jednak obywatel ziemski, gospodarz i przemysłowiec i naturalnie kupiec zarazem, nie przywiązuje wagi do rachunków, nie ma wyobrażenia o buchalteryi i nie lubi sobie zaprzątać głowy rzeczą tak suchą jak liczba—cóż dopiero mówić o kobietach, w rękach których spoczywa także pewna część ekonomiki rodzinnej?

Każda guwernantka i wszyscy którzy mieli zajęcia pedagogiczne, czy to na pensyach, czy w domach przywatnych, wiedzą bardzo dobrze, iż młode uczennice, odznaczające się pilnością i pracowitością we wszystkich przedmiotach, do arytmetyki jednak okazują niewiele zdolności, i nauka ta jest dla nich jedną z najtrudniejszych. Nie jest też wypadkiem szczególnym, fakt, że młoda osoba opuszczająca pensyą, mówiąca znakomicie kilkoma językami obcemi, znająca jakotako historyą i muzykę, nie ma dostatecznych wiadomości o ułamkach, a liczby wielorakie uważa za rodzaj głębokiej filozofii tylko wybranym umysłom dostępnej.

A ileż to nieraz za błogich pensyonarskich czasów, młoda osóbka wylała gorzkich łez nad prostem arytmetycznem zagadnieniem; ileż to westchnień ciężkich uleciało w przestrzeń—dopóki interwencya braciszka w niebieskim mundurku nie położyła końca temu utrapieniu i boleści. — „Oh, opowiadała nam jedna pani, lekcye arytmetyki były dla nas czemś strasznem; a piekło wyobrażałyśmy sobie w postaci ogromnej klasy, w której nieszczęśliwe, skazane będą na wiekuiste zamienianie całości z ułamkami na ułamki i odwrotnie, pod nieustannym dozorem suchego jegomości dyktującego zagadnienia."

Nie lubią nasze panie rachunków, od najmłodszych lat lękają się ich, rzekłbyś, że je w kolebce jeszcze straszono tabliczką mnożenia.

A jednak, jak ważnym jest rachunek w życiu człowieka średniej zamożności, tam gdzie całe gospodarstwo domowe i wszelkie wydatki są w ręku naszych pań.

Na pociechę jednak, przyznać musimy, iż dzisiaj w czasie ogólnej biedy i małej wartości pieniędzy, gosposie miejskie zaczynają się leczyć z tej wady, nabierając przekonania, że nudna cyfra jest pożyteczną, że się nie godzi jej ignorować.

Może się kto zapytać, czy to są tak ważne wady, żeby je aż na widok publiczny wystawiać, może kto powiedzieć że zaniedbanie wła-

snych interesów, szkodzi tym tylko którzy je zaniedbują. Zapewne, ale wszelkie wady naszego społeczeństwa, pochodzą z owych właśnie drobnych wad indywiduów pojedyńczych; ale interesy prywatne jednostek są częściami składowemi interesów ogółu.

A ten objaw niesystematyczności i nieporządku w rachunkach, o którym dzisiaj mówimy, jest tak częsty, tak się codziennie powtarza, że przynosi przez to niemałe zaiste szkody w ogólnym dobrobycie.

Nie należy to wcale do pocieszających spostrzeżeń, widzieć obywatela ziemskiego, który nie wie ile wkłada w gospodarstwo i ile mu ono korzyści przynosi. Nie miło jest widzieć szczuplutkie gospodarstwo urzędnika, w którem nikt dziennych wydatków nie notuje. Smutny objaw niedbalstwa przedstawia rzemieślnik nie prowadzący wcale kontroli swego zarobku.

A ta wada, to właśnie niedbalstwo, ignorowanie cyfr, jest tak powszechnem, tak zwykłem, że do osobliwości należy rodzina, która działa inaczej.

Gdzie leży przyczyna tej wady, odpowiedź bardzo łatwa; leży ona w zwykłej naszej lekkości—myśmy zanadto wielcy, abyśmy się mieli drobnostkami zajmować; wydajemy zwykle dotąd, dopóki mamy z czego wydawać — jak nam zabraknie, pożyczamy — jak zabrniemy już dobrze w długi, wyczerpiemy kredyt, jak nam lichwa da się dobrze we znaki, wtenczas rozpoczynamy płaczliwe lamentacye, mówimy dużo o oszczędności, zastanawiamy się nad wydatkami, szukamy sposobów, aby je zmniejszyć, jednem słowem stajemy się wybornym dowodem dla stwierdzenia prawdy przysłowia, o mądrości i szkodzie.

Ale niestety, bywa to prawie zawsze „po szkodzie.“

Tak. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że lekkość naszych charakterów i w tym razie doprowadza nas do smutnych rezultatów. Oprócz tej jednak lekkości, niemniej ważna przyczyna wszelkich, smutnych naszej społeczności objawów, a naturalnie i tego, o którym dzisiaj mówimy, leży także w wychowaniu dzieci.

Ileż to razy dajemy dzieciom pieniądze, bez potrzeby, na łakotki i inne przyjemności—dajemy je tak jakbyśmy dawali zabawkę, nie wpajamy w nie przekonania o wysokiej wartości grosza, o trudności zapracowania na kawałek chleba. Iluż to młodych ludzi, których los postawił w tem położeniu, że z łaski rodziców nie potrzebowali zabiegać i starać się zamłodu o środki do życia, iluż takich młodych ludzi wychodząc na świat, nie ma najmniejszego wyobrażenia o wartości pieniędzy. I cóż więc dziwnego że człowiek taki, nie zastanawia się nad cyfrą, że ona go nuży.

Człowiek nie nauczony za młodu, tej głębokiej prawdy, że w dzisiejszych czasach pieniądz jest na równi z pokarmem i powietrzem, niezbędnym warunkiem życia, człowiek taki uczy się dopiero oszczędności w twardej szkole życia. A że tam nikt nie pieści i nie głaszcze; przeto nieraz dostaje porządne cięgi, za to że go rodzice nie nauczyli szanować grosza, że go nie nauczyli rachować.

O ile nas wyprzedzili żydzi pod tym względem, wiadomo każdemu.

Nauczeni smutnem doświadczeniem, praktyką częstokroć bardzo bolesną, powinniśmy uleczyć się z tej wady, powinniśmy szanować pieniądze, nie zaniedbywać rachunków, pracować, liczyć i oszczędzać.

Może niejedna z pięknych czytelniczek uśmiechnie się z ironją czytając nasze wyrazy, może powie, że wyszły one z pod pióra grubego materyalisty, dla którego ideałem jest rubel, a celem życia list zastawny. Może niejedna napisze płaczliwy wierszyk, żałujący owych błogich czasów, w których można było śnić i marzyć.

Nie—piękne panie, wierzcie, że cyfra i pieniądz uczciwie zapracowany, grosz oszczędzony na stare lata nie brudzi człowieka. Prozaiczne pieniądze nie ścierają z duszy ludzkiej wyższych uczuć i podnioślejszych myśli. Owszem, staranność, zabiegłość i oszczędność, są skutkiem owych właśnie pięknych, poetycznych stron duszy ludzkiej. Ojciec oszczędza i liczy grosz zapracowany, bo ten grosz jest dla niego środkiem utrzymania rodziny. Pracowita dziewczyna, zbiera dla starej matki... Czyż macie o niej powiedzieć, że jest materyalistką—goniącą za zarobkiem.

Pieniądze są środkiem, są sposobem, o który każdy powinien się starać i zabiegać.

A znając tę prawdę, powinniśmy starać się mieć cyfry—powinniśmy je szanować.

Z DZIENNIKA LEKARZA.

(Dokończenie).

Zapewne też światło lampy stojącej na stole nie pozwalało im dobrze widzieć kto wchodzi, gdyż Helena zwracając się ku drzwiom rzekła:

— Władysławie mama utrzymuje że, Ryszardek urodził się we środę, mnie się zdaje że we wtorek. Spostrzegłszy mię zamilkła, zmięszała się cokolwiek lecz uważałem że mnie nie poznała. Władysław położył mi zlekka rękę na ramieniu i zbliżywszy się ku stołowi:

— Doktór Leon — rzekł prezentując mnie; mój dobry przyjaciel.

Ukłoniłem się—dwie panie siedzące na kanapie oddały mi ukłon, spoglądając w stronę gdzie stałem, ciekawie i z uśmiechem—Helena spuściła wzrok i mocnym oblała się rumieńcem. Władysław podał mi krzesło, usiadłem, i zaczęła się rozmowa o rzeczach potocznych. Uważałem, że pani Helena nie mogła ochłonąć z wrażenia, jakie na niej moje zjawienie się zrobiło i żadnego nie brała udziału w toczącej się rozmowie.

Dwie osoby siedzące na kanapie: była to matka Władysława i pani hrabina Tarłowa. Po upływie pół godziny, Władysław wstał i poprosił mnie do swego pokoju na cygaro. Gdyśmy się ujrzali sami — rzekł śmiejąc się i zacierając ręce.

— Zrobiłem niespodziankę żonie, twojem przybyciem.

— I przykrość.

— Bynajmniej—zmieszała się tylko cokolwiek, ba, i nic dziwnego; ale—nie wywiązałem się jeszcze z jednego obowiązku: mam ci przecie opowiedzieć o naszem ślubie i spotkaniu z matką.

Otóż nazajutrz po owym pamiętnym wtorku, stanęliśmy w Częstochowie. Helenę odwiozłem do mojej ciotki, która widząc ileśmy cierpieli oboje z powodu trudności, jakie połączeniu się naszemu przeszkadzały, skłoniła mnie, aby wstępnym bojem je przełamać—przygotowała wszystko co tylko do aktu małżeństwa mogło być potrzebnem i przyjechawszy do Częstochowy oczekiwała naszego przybycia.

Nazajutrz rano w kaplicy Częstochowskiej spełnił się akt mojego szczęścia ze wszystkiemi przynależytemi ceremoniami. Przypomniej sobie owo zdarzenie w karetce pocztowej na drodze do Radomia, które nam później matka szczegółowo opowiedziała. Otóż w Radomiu wsiadła ona wraz z mężem zaraz na ekstrapocztę i oboje pojechali do Warszawy. Przez drogę teściowa nieposiadała się z niecierpliwości. Zaniechała jednak wszelkiego badania małżonka, który utrzymywał się wybornie w roli zdziwionego i niepojmującego powodu ekscentrycznej podróży, do jakiej był zmuszony. Nieoceniony pan Słuszkowski opowiedział nam historyą tę tyle razy, że ją wszyscy umiemy na pamięć — i ilekroć w dobrym jest humorze do przedmiotu tego powraca.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

— W roku 1873 w Wiedniu znany pisarz *Mikołaj Bołoz Antoniewicz* wydał swój poemat dramatyczny w pięciu oddziałach p. n. *Anna Oświęcimówna* z ilustracyami Artura Grottgera. Utwory tu dołączone genialnego rysownika są bardzo słabemi próbkami, wykazują niepewność ręki i nieumiejętne władanie ołówkiem. Publikacya ta dorzuciła tylko kilka ciekawych szczegółów do biografii Grottgera, a głównie stosunków przyjacielskich poety z wielkim artystą, i pozostanie tylko jako pamiątka pierwszych jego porywów, nie zwiastująca wcale późniejszego orlego polotu. Teraz niespodzianie pojawiają się zgasłego w samym kwiecie wieku twórcy *wojny* i innych, rysunki wykończone, i ukazujące w całym blasku jego talent.

Grottger pozostawił w ręku pani Młodnickiej *album* swoje, które najwyżej sam stawiał ponad wszystkie znane nam utwory jego ołówka.

W Wiedniu wychodzi album fotograficzne p. n. *Księga szkiców Grottgera*, nakładem *H. O. Miethkiego*, i już wyszedł pierwszy zeszyt. Nie są to szkice, ale jak mówiliśmy wykończone jak najstaranniej rysunki.

Prasa niemiecka z uwielbieniem mówi o tej publikacyi. Recenzent pisma: *Neue freie Presse*, w tych słowach rozpoczyna swoje sprawozdanie:

„Ilekroć piszę imię genialnego polskiego artysty, któremu zawdzięczamy tyle wzruszających obrazów, czuję się opanowanym bolesnem uczuciem. W całej nowoczesnej historyi sztuki, nie ma ani jednego mistrza kredy i ołówka, któryby przewyższył Artura Grottgera, pod względem siły i energi. W malowaniu poruszających do głębi wydarzeń, co do głębokości charakterystyki scen niesłychanie efektownych, można go uważać za jednego z najpierwszych.

„Ale miał on na swoje rozkazy nietylko moc wyrazu dla uczczenia bohaterskich czynów, lub też dzikich scen wojny: równie znakomicie umiał oddać wczarującym rysunku wdzięk i serdeczność dziewczęcia, potrafił uwydatnić kobiecą piękność w sposób najwięcej umysł i serce ujmujący.“

Zbiór cały obejmuje do pięćdziesięciu rysunków, pomiędzy któremi są prawdziwe arcydzieła, które uwiecznią pamięć wielkiego artysty.

Przy dzisiejszem obrachowywaniu każdego czynu na korzyści materyalne, jakie z niego osiągnąć się dadzą, wszelki objaw bezintere-

W Warszawie od pani Tarłowej dowiedzieli się o wszystkiem. Między kuzynkami przyszło do wymówek a nawet do uniesień i gniewu. Nie tajnem było gdzieśmy się udali, albowiem Helenka zostawiła w pokoju swoim list do matki, gdzie ją błagała o przebaczenie i udzielenie chociaż zdaleka błogosławieństwa, którego do tej chwili nad nami wyrzec nie chciała. Niezmordowana kobieta wsiadła w tej chwili wraz z nawpół żywym z utrudzenia mężem na ekstrapocztę i popędziła do Częstochowy. Otóż gdyśmy wychodzili z kościoła, wobec tłumu ciekawych, niezbędnych choć nieproszonych świadków ślubnej uroczystości, w drzwiach prawie kościoła, spotkaliśmy wchodzącą matkę żony i ojca, na którego twarzy malował się teraz najwyższy niepokój. Helena zemdlała—ja rzuciłem się do nóg matce, która w tej chwili pobiegła ku zemdlonej córce i zaczęła ją wraz z innymi ratować. Helena otworzyła oczy, lecz ujrzawszy matkę zasłoniła twarz rękoma i zanosiła się od płaczu. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie ta scena na mnie zrobiła. Patrzałem na twarz matki miotany najrozmaitszemi uczuciami, aż nagle ujrzałem dwa strumienie łez spływające z pod brwi dotąd zmarszczonych i surowych.

— Dziecię moje zawołała — uspokój się; przebaczam—błogosławię—taka była wola boża.

Helena jednak nieprędko przyszła do siebie, zanieśliśmy ją do karety i zawieźli do mieszkania ciotki. Pani Paulina wsiadła wraz z córką uspakajając ją i okrywając pieszczotami. Złożyliśmy mocno osłabioną wzruszeniem Helenę, gdzie wkrótce odzyskała spokojność i wtedy obie z matką rzuciły się sobie w objęcia.

— Matko — zawołała Helena zwracając się ku mnie—przebacz i jemu....

Przyklękliśmy oboje—wtedy to nieubłagana dotąd kobieta dała nam błogosławieństwo, którego tak długo i uporczywie odmawiała. Poczciwe ojczysko płakał i śmiał się z radości. Wszyscy obecni do łez byli wzruszeni. Skoro pierwsze wrażenie minęło, nastąpił drugi uścisk: matki żony z moją ciotką...

W tej chwili usłyszeliśmy otwieranie drzwi i głosy kilku osób w salonie.

— Otóż i rodzice—rzekł Władysław.

— Jakto—więc są także w Warszawie?

— A jakże—matka przepędziła tu z nami całą zimę—a ojciec w tych dniach przyjechał, aby nas do domu zabrać.

Zmięszałem się na myśl, że zobaczę ową panią Paulinę, która niegdyś na drodze do Radomia tak groźnie na mnie spoglądała podejrzywając o współudział w ułożonym przeciwko niej spisku.

Władysław wprowadził mnie do salonu i nowoprzybyłym przedstawił. Pani Paulina nie okazując najmniejszego zdziwienia—odpowiedziała na mój ukłon uprzejmym podaniem ręki. Pan Słuszkowski serdecznie mi obiedwie ręce uścisnął, gdy zaś panie obstąpiły stół oglądając jakiś sprawunek, świeżo przez panią Paulinę przywieziony, przybiegł do mnie i ściskając powtórnie w oba mnie policzki pocałował. Wieczór przeszedł mi bardzo przyjemnie w owem towarzystwie, w którem jakkolwiek poraz pierwszy się znajdowałem, traktowano mnie jak dawno i dobrze znajomego—osobliwie też pan Słuszkowski i pani Porajowa, matka Władysława, ujmującą okazywali mi życzliwość. Dwa lata ubiegłe od pamiętnego nam zdarzenia, zmieniły cokolwiek piękną twarz Heleny, stała się ona pełniejszą, co wprawdzie nie podniosło urody, wyraz jednak dziwnej słodyczy i pogody panował na jej obliczu, świadcząc o pewnej a pełnej pokoju duszy i usprawiedliwiał w zupełności głębokie i trwałe uczucie, jakie osoba ta w sercu Władysława obudziła.

Mały Ryszardek, przez cały ten czas siedział na moich kolanach, bawiąc się dewizką i kołnierzykami.

Przy pożegnaniu pan Słuszkowsk razjeszcze po swojemu mię wyściskał, pani Porajowa zatrzymała chwilę moją rękę i powiedziała kilka słów uprzejmych, prosząc, abym im przedstawił moję żonę, zanim jeszcze z Warszawy wyjadą.

Dr.—

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg—patrz Nr. 19.)

— Co pan chcesz z naszą publiką! Ja sam tyle lat już jestem dyrektorem teatru, rozumiem znaczenie sceny, a bardzo często i często musiałem spuścić z tonu, i zastosować się do gustu i wymagań publiczności. Ale jak dobry doktór, który lecząc rozpieszczone dzieci, nieco przykremi dla ich podniebienia lekarstwami, najprzód podaje im cukierki dla osłody, tak rozumny a sumienny dyrektor, powinien zwolna gust tej publiki na drogę piękna ostróżnie kierować. Wiele i ja dla lwowskiej sceny fars tłumaczyłem lub naśladowałem, które dawałem na wabika, dla powiększenia zwolenników naszego teatru, ale między temi Fredro i Korzeniowski gościnne też mają przyjęcie, jak i arcydzieła dramatyczne niemieckie, francuskie i angielskie. Farsy dają nam zawsze lepszy dochód, ale robiąc między niemi stosowny wybór, i niemi można nieponiżać prawdziwej sztuki.

Kiedy skończył mówić, ja ujrzawszy leżące dwa tomy Haliczanina na stoliku, z radością je pochwyciłem, jako książki tak dobrze mi znane z Warszawy. Widząc to Kamiński.

— Cóż tam u was mówią o moich rozprawach wyrzekł: *Czy nasz język jest filozoficzny i wywód filozoficzny naszego języka?*

— Słyszałem wielkie pochwały o tych pracach, odpowiedziałem, z ust Maurycego Mochnackiego, chwalił je i Lelewel: ale ja, mam że szczerze wyznać kochanemu panu, ja ich nierozumiem dobrze.

Otwartość moja wielce się podobała Kamińskiemu, usiadł na swej kanapie, a biorąc dzieło to z rąk moich:

— No, rzekł siadaj przy mnie, a ja panu objaśnię, bo do tego trzeba rzeczywiście mieć klucz właściwy.

Chętnie obok zasiadłem, uważnie słuchałem jego wykładu, ale mimo usiłowań samego autora, niewiele skorzystałem z jego objaśnień. Pokazało się jednakże, że moja szczera spowiedź, miała gruntowniejszą podstawę, gdyż w wielu miejscach, Kamiński się przyznał że nie dość jasno się tłómaczył. Niedosyć na tem, ale gdyśmy razem zaczęli czytać pomienione rozprawy, spostrzegł, że gdy myśl potrzebowała trzech lub czterech ustępów, dla jej jasnego wykładu, autor dał pierwszy i trzeci o drugim zapomniał, albo dał pierwszy, drugi i czwarty, a trzeci pominął. Gdy się takie niedostatki coraz częściej w *Haliczaninie*, pokazywały, odsunął z niechęcią książki, położył się znowu a wyciągnąwszy rękę i ściskając dłoń moję rzekł, z osowiałem obliczem:

— Przepraszam pana żem go utrudził — ale bo to człowiek jak zaczął nad tym zadaniem rozmyślać, zanim pięknie pomysły swoje przelał na papier, nie jedno wywietrzało z głowy. Trzeba na to śledziennika Niemca, ale my Polacy, niemamy z natury cierpliwości po temu.

Dla zatarcia przykrego uczucia jakiem był przejęty, zwróciłem uwagę jego na poezyą i Kamiński do razu orzeźwiał i rozweselał

---

sowności w podejmowaniu jakiejbądź sprawy wymagającej dużego nakładu, zasługuje na uznanie i prawdziwy zaszczyt przynosi temu, który nie zważając na koszta i straty nieuniknione, przykłada rękę do dzieła mającego istotną artystyczną wartość. Chcemy tutaj pomówić o nowem wydawnictwie pana Żupańskiego, znanego księgarza i wydawcy poznańskiego. Pan Żupański, przysłużywszy się publiczności wydaniem „Pieśni o ziemi naszej“ Wincentego Pola, z przepysznemi ilustracyami J. Kossaka, wydawszy niektóre utwory Adama Mickiewicza z ilustracyami A. Zaleskiego, przystępuje obecnie do wydania poematu Wincentego Pola, zatytułowanego „Zawsze oni“ i ilustrowanego przez Kossaka. Kto zna wielkość wydatków, jakie powstają przy tego rodzaju wydawnictwach, i trudność ich pokrycia przez rozprzedanie wydanego dzieła, ten pojmie wiele potrzeba mieć samemu poczucia artystycznego, aby nie zwracając uwagi na kieszeń, podjąć się takiego dzieła. Ilustracye Kossaka, ryte na stali są prawdziwemi historycznemi obrazami, odtwarzającemi myśl autora z taką wiernością i prawdą, jaką tylko poezya natchnąć może artystę.

Kossak jest mistrzem w pracach tego rodzaju, czuje on, zna i kocha tę przeszłość, którą podług słów poety ołówkiem odtwarza, to też miniaturowe postacie wyszłe z pod jego ręki zdają się przemawiać do serca i wyobraźni, nakreślona bitwa przejmuje zgrozą, a w uobrazowaniu wnętrza chaty litewskiej (Pieśń o ziemi naszej) lub łanów pokrytych zbożem, wśród których przesuwa się procesya Bożego ciała, wywołuje uśmiech przyjemnego zadowolenia na usta najzimniejszego widza. Nie wątpimy że ilustracye do „Zawsze oni“ będą nowym dowodem talentu Kossaka, a panu Żupańskiemu życzymy powodzenia i nieustawania w przedsięwzięciach tego rodzaju, któremi sobie zaskarbi wdzięczność ogółu ceniącego jego szlachetne usiłowania i pobudki.

Dowiadujemy się iż 60 lekarzy, wychowańców tutejszego uniwersytetu, objawiło Warszawskiemu Towarzystwu Lekarskiemu chęć złożenia w ciągu trzech lat summy, któraby ułatwiła wydawanie książek lekarskich w polskim języku. Przy dzisiejszej stagnacyi w ruchu księgarskim, nie zapewniającej książkom naukowym prędkiego rozkupu, panowie wydawcy biorą się z wielką oględnością do wydawnictw tego rodzaju, i długo nieraz czekać przychodzi, zanim się jaka książka specyalnie naukowa pojawi w pośród tłumu romansów i powieści. Musimy tu przyznać, iż wszelkie dzieła naukowe wyszłe z pod prasy w ciągu ostatnich lat kilku zawdzięczamy gorliwemu krzątaniu się młodzieży, która doświadczywszy często niedostatku naukowych książek, tak podczas akademickich studyów

Nieśmiałem mu wspomnieć o jego *Sonetach* we Lwowie drukiem ogłoszonych w 1827 roku, które wywołały nań gromy pocisków szyderskich, i nie bez słuszności: ale sam Kamiński o nich rzecz zagaił...

— Kiedym tłómaczył Szyllera ballady, bito mi oklaski, a na sonety świstano. I może mieli racyą za sobą, bo pisałem je pod wpływem moich rozpraw filozoficznych: to też w głębokich toniach myśli, niewykrzesać poezyi!

Tu zaczął mi wykładać o mistycznym znaczeniu kształtów każdej litery, i gdy rozciągle rozwijał kształt kresek w *m* i w *w* i w chwili odpoczynku przywiodłem mu z *Zemsty* Fredry ustęp jak Dyndalski delektował się nad literą *B*, którą tak kaligraficznie napisał. Kamiński zaczął się śmiać serdecznie i na tym skończył swoje filozoficzno-mgliste wywody.

Kiedym go żegnał bo już był wieczór późny rzekł do mnie uprzejmie podając dłoń do uściśnienia...

— A nieodwlekaj długo swoich odwiedzin kochany panie! Widzisz, muszę leżeć i pracować nie mogę, to jedyna pociecha w poufnej gawędce.

W parę dni później gdym przybył, znalazłem Kamińskiego rzeźwiejszego i zdrowszego, siedział przy stoliku i już pisał. Kiedym wszedł rzucił pióro, i zawołał:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł napracowałem się już dosyć...

— A nad czem to? zapytałem... spoglądając na gruby rękopism... czy co nowego?...

— Chcę wydać zbiorek swoich wierszy, które w części rozrzucone po pismach były drukowane, a w większej połowie spoczywają w manuskrypcie. — Dałem tytuł *Haliczanka*. Niemasz tu ani jednego *sonetu*, tak zakrzyczanych! Ale są takie przy których muszę zatrzymać waszę uwagę. Czy wierzysz, że taka potęga człowieczego słowa...

— A ja w tej chwili z *prologu* zacząłem deklamować własne jego wiersze...

Taka potęga człowieczego słowa,
Iskra wykuta na boskiem kowadle,
W człowieczej piersi myślą wykrzesana,
Odbita duchem, w duchowem zwierciadle.
Bo tylko słowo stać się może ciałem,
Ono swym związkiem jawić boskie cudy,
Ono w myśl wniknąć błyskawicy strzałem,
Ono zszyć w naród rozstrzelone ludy,
Ono dać sposób rozlicznej nauki.

Kamiński słuchał mojej deklamacyi z upodobaniem, a potem wyrzekł z uśmiechem...

— Chciałem pana mego zwrócić uwagę że taka potęga człowieczego słowa, że jest w stanie wybornie naśladować wszelkie głosy natury i w naturze odbite.

— Jakto? zapytałem zdziwiony.

— Czyż słowo człowiecze — mówił coraz więcej się zapalając nie może naśladować poryku burzy, świstu wichury, ulewy deszczowej — szmeru wody, lub odgłosu dzwonów...

— Dzwonów? zawołałem, a jakimże to sposobem?

Kamiński przerzucił prędko rękopism *Haliczanki* i zaczął mi dźwięcznym głosem czytać wiersz swój p. n. *Myśl pod krzyżem*. Pomijam jego początek cały — ale na następną strofę zwrócił całą moję uwagę.

„Czas karmi wieczność światowym wy-
[szczerbem!
Był! czasu pieczęć! *Był!* grobowym her-
[bem
Był! — i grobowe skrzypnęły zawiasy,
Po wszystkie czasy!

Każdy wyraz *Był!* przeciągał długo, i rzeczywiście coś podobnego o ucho się odbijało, jakby dalekie echo dzwonu.

Po przeczytaniu tak dosadnem tej strofki, pyta mnie, czy to nie jest wierne naśladowanie kościelnego dzwonu?

— Ale tak nikt tego miejsca czytać nie będzie jak to pan robi. Przeczytałem zwykłym sposobem. No! cóż zapytałem Kamińskiego, gdzież tu — dźwięk tak rzewny a podłużny kościelnego dzwonu?

— Bezmyślny człowieku! odrzekł mi nieco rozdraźniony poeta, czyż twe ucho nie słyszy w tym wyrazie samym, już dźwięku tego.

I zaczął głową kiwać, jakby litując się nad moją czy nieświadomością, czy brakiem prawdziwego artystycznego poczucia. Dla pocieszenia więc Kamińskiego zacząłem mówić o usiłowaniach w tejże samej myśli poetów warszawskich, naśladowania to śniegu spadającego wśród ciszy na ziemię, to obrotu młyna wodnego, i tym podobnych zdarzeń, dobranemi wyrazami w wierszach, ale na moje nieszczęście, żadnego przytoczyć nie mogłem, bo je pozapominał. Kamiński na swej kanapie ciągle się kiwał, i raz po raz powtarzał *Był! Był! Był!* przeciągając każdy.

— Jak tu, zawołał wreszcie niesłyszeć wyraźnego bicia dzwonu i jego odgłosu? Ale na niewiernego Tomasza niemasz lekarstwa. Ot! wiesz co przeczytam ci to co może humor nieco poprawi, i zaczął czytać swój poemacik żartobliwy p. n. *Przypadek na odpuście*.

Niepamiętam żebym się kiedy uśmiał tak serdecznie jak słuchając tego utworu pełnego dowcipu i humoru prawdziwie rodzinnego. Jest to brylancik prawdziwy humorystycznej poezyi polskiej, wart ilustracyi, ale gdzież się znajdzie odpowiedni artysta, któryby ołówkiem podołał oddać wszystkie odcienia komizmu jakie tu tryskają — wywołując śmiech i radość. Poemacik ten o 38 strofach, każda ośmiowierszowa, wyszedł później ilustrowany oddzielnie, ale rysunek niedorównał jego treści porywającej słuchacza.

— W jakiej że to szczęśliwej chwili, napisałeś pan to arcydzieło! zawołałem pomiwolnie.

— Rzeczywiście, odrzekł poeta, była to chwila w życiu mojem bardzo piękna, gdym uradowany serdecznie przyszedł do domu, usiadłem, i jednym pociągiem pióra nakreśliłem cały *przypadek na odpuście*. Płynęły mi wiersze tak jak nigdy, zaledwie nadążyłem pisać — przez dwie godziny przykuty do stołu, gdym wstał dopierom odetchnął całą piersią. O! chwila która ten nastrój poprzedziła była bardzo piękną — ale to jest tajemnica, którą chowam na dnie serca.

Tymi słowy zamknął mi usta, gdyż chciałem go prosić, ażeby mi wspomnienie doznanego szczęścia opowiedział... Kamiński położył się na nowo, podumał chwilę i zaczął deklamować:

Lecz choć pogrom z góry runie,
Mąż się bardziej w stałość zbroi,
Bije piorun po piorunie,
On jak dąb stuletni stoi!

— Z czegoż to ustęp tak piękny? zapytałem.

— To z moich *krakowiaków i górali*, ot! przyszedł mi na myśl, gdym wspomniał sobie jakie po owej pięknej chwili nadciągnęły burze, które biły we mnie, a jednakże wytrwałem. Ale były młode siły, młoda myśl uskrzydlona kwiatami nadziei, teraz przy siwiźnie coraz cięższej, coraz smutniej w życiu.

Napracowałem się dosyć, ot leży w tym rękopiśmie całe trylogium Szyllera *Obozu Wallensteina* i nakładcy trudno a pragnąłbym to wydać, bo trudny orzech może będzie dla drugich do zgryzienia. Bogusławski ogłosił w dwunastu tomach swoje dzieła dramatyczne — jabym ich miał trochę więcej tomów. Kto to wyda kto to podejmie, bodajby nie zmarniało bez pamięci.

— Odrzuć te smutne myśli kochany panie, pamiętaj na chłopskie przysłowie: *będzie też słonko przed naszemi wroty*. A teraz muszę go pożegnać, bo do wyjazdu jestem zmuszony. Czy Bóg dobry dozwoli, zobaczyć się nam jeszcze — któż to wie, ale proszę wierzyć, że wspomnienie szanownego pana i miłych chwil jakie spędziłem w jego towarzystwie, niewy-

---

jak i po ich ukończeniu, chce tym sposobem ocalić od niego młodych swoich kolegów, a wzbogacając literaturę krajową dziełami jakich jej dotychczas bardzo brakowało, spełnia prawdziwy czyn obywatelski.

Z tak żywem zainteresowaniem się ogółu, podjęta myśl założenia muzeum przemysłowo-rolniczego, weszła obecnie w stadyum bezwładności. Jestto zwykła kolej, jaką u nas przechodzić muszą wszelkie najzbawienniejsze dla całego ogółu cele lub instytucye, a im donioślejszej są wartości, tym dłużej w stanie zupełnej bezwładności pozostawać muszą. Śledząc przyczyn i powodów tego objawu, przekonywamy się, iż nazbyt pochopnie przystępujemy do takich przedmiotów, które wymagają głosu zimnego rozsądku, chłodniejszej jeszcze rachuby i niezłomnej woli w wykonaniu. Dając zaś przewagę panowaniu serca nad rozumem, zwykle rzeczy zaledwie podobne do wykonania przedstawiają się w nader łatwych warunkach, serce coraz raźniej uderza w łonie, a gdy ze znużenia wolniej bić poczyna, porzuca się w połowie rozpoczęte dzieło skazując je na oczekiwanie końca, przynajmniej na jakie lat dziesiątki. Otóż i otwarcie Muzeum Przemysłowo-Rolniczego, któremu w uniesieniu serdecznem, gościnne podwoje otwierały podobno w swym gmachu władze Towarzystwa Kredytowego, dotąd dla braku odpowiedniego pomieszczenia, pomimo złożonych ofiar ze strony publiczności, otwartem być nie może. Zanim przeto wynajdzie się lokal, zmarnieją tymczasem ofiary złożone na ołtarzu dobra publicznego, i między pustemi ścianami przyjdzie znów kolej wyczekiwać na tworzenie nowych zbiorów.

Dowiadujemy się z gazet, że w Petersburgu organizuje się *Towarzystwo niesienia pomocy uczniom rzemieślniczym*. Celem jego będzie opieka nad uczniami rzemieślniczymi w razie surowego obchodzenia się z nimi gospodarza, wynajdywanie im innych miejsc u ludzi znanych Towarzystwu z uczciwości i wreszcie przestrzeganie, iżby uczniowie uczęszczali w dnie świąteczne do szkół niedzielnych. Po ukończeniu nauki, Towarzystwo udziela uczniowi zapomogę na zagospodarowanie. Towarzystwo składa się z członków rzeczywistych, którzy załatwiają czynności Towarzystwa i honorowych, który wnoszą stałą roczną składkę. Projekt tego Towarzystwa ma być wkrótce zatwierdzony przez władzę. Podając tę wiadomość, wstrzymujemy się od wszelkich uwag, i dodamy, że podobno i u nas Towarzystwo takie bardzo przydałoby się mogło.

gaśnie nigdy w mej pamięci. Dajcie mi krzyżyk na drogę!

Kamiński podniósł się z kanapy, wyciągnął ręce, uścisnął mnie serdecznie, a kładąc znak krzyża nad moją głową, wyrzekł drżącym głosem.

— Bóg was prowadź i żegnaj!

Wybiegłem rozrzewniony — jużeśmy się więcej z sobą niespotkali. Gdy wieść przyszła o jego zgonie, Antoni Czajkowski, odczytał mi piękny wiersz, w którym uczcił pamięć i zasługi Kamińskiego. (*d. c. n.*)

STARY TRZEWIK [1]).

Było to wiosną, w maju, słonko świeci cu-[dnie,
Ogrzewa lecz nie pali, minęło południe.
Szedłem nad brzegiem rzeki, gdzie oczy [powiodą,
Czasem drobny obłoczek przeleci nad wo-[dą,
Zmąci czyste zwierciadło i dalej pobieży.
Na prawo, rząd topoli rośnie u wybrzeży,
Na lewo szumi trzcina — rzeka tuż przede-[mną,
Kręto płynie i z wiatrem coś gwarzy taje-[mno,
A most na widnokręgu odbija w oddali,
Skaczą rybki radośnie, i na czystej fali,
Pod rzutem ich szerokie rysują się koła.
W chrustach pliszka z dzięciołem pogwa-[rza wesoła.
I ten słodki gwar ptasząt, z szumem wód [złączony,
Zlewa się w duszy mojej, w czarodziejskie [tony.

Szedłem cichemi kroki po zielonej łące,
Utkanej w macierzanki i w jaskry kwitną-[ce,
Wtem, jakiś twardy przedmiot uczułem [pod nogą,
Patrzę nań; człowiek widać przechodził tą [drogą.
Pierwszy to w tem pustkowiu ślad był sto-[py żywej,
Był to trzewik żebraka, ohydny, straszli-[wy,
Z podeszwą jak rzeszoto, wykrzywion [u pięty,
Przez dziury wyglądają brudne wiechcia [szczęty,
Szpetny jak ludzka nędza! Nim poszedł [na śmiecie,
Nosił go pewnie żołnierz w pachodach po [świecie,
Kiedy stopą zwycięzką, deptał ziemie cu-[dze!
Upadł wreszcie zużyty wzbyt długiej po-[słudze.
Z nogi, co wzdłuż i poprzecz zbiegła Euro-[pę,
Przeszedł od gałganiarza na żebraczą sto-[pę!

Jak boleśnie ten obraz duszę mi przenika!
Czyż kula uwiązana u nóg galernika,
Cięższa, niż był ten trzewik na tułaczej no-[dze?
I kto go tu porzucił pod mostem, przy dro-[dze?
Tu prąd tak wartko bieży, ażalisz ty rze-[ko,
Łzawemu odrzutkowi, ze zbrzękłą powieką,
Nie szepnęłaś coś w ucho zdradzieckiemi [zgłoski?
Odpowiedz, czy stąd boso powlókł się do [wioski?
W zuł-że inne obuwie, dar litości bratniej?
Czy może, gdy go łachman opuścił ostatni.
Znalazł na dnie twych prądów żwirowate [łoże,
Gdzie bez szmat, bez obuwia człek obejść [się może!

O! bezecny ten trzewik!... Patrzę nań ze [wstrętem,
W tem miejscu tak odludnem, nad tych [wód odmętem,
Na wzburzone me zmysły okropnież on [działa!
Od skwaru, od szarugi, skóra tak zrudzia-[ła,
Poczułem woń grobową — widzę zbrodni [ślady....
Przedemną jakieś dziwne jawią się szkara-[dy,
Czarny las... trup... i ziemia zlana krwią [czerwoną,
I nad trupem morderca z pałką podniesio-[ną!
Świadku gwałtu lub nędzy, twem widmem [złowieszczem,
Ranisz mi pierś, i zimnym przejmujesz ją [dreszczem.
Ach! ty mi przypominasz, wśród słodkiej [ziół woni,
Gdy świegocą ptaszęta, kiedy pszczółka [dzwoni,
Gdy słoneczko tak cudnie połyska nad [darną,
Że w odmętach serc ludzkich tak mętno, [tak czarno!
Ty mówisz smutny świadku przed niebios [obliczem,
Że ziemia wkoło tchnieniem zatruta zbro-[dniczem,
Że od nędzy do mordu, droga niedaleka,
Ten w dłoń pałkę pochwyci, komu z nóg [krew ścieka.
Przeklęty bądź! twój widok wskróś mi ser-[ce bodzie!
Lecz on wpoprzecz nie stoi kwitnącej przy-[rodzie!
Błogiego jej spokoju nie zmąci na chwilę,
Bez trwogi nad nim barwne wzlatują mo-[tyle,
Mchem miękkim upowity w łonie iemi zni-[ka,
I kwiat polny z starego wyrasta trzewika!

---

[1]) Znany a ulubiony poeta francuski *Coppée*, wydał niedawno mały tomik poezyi swoich p.n. *Czerwony Zeszyt*, (Le Cahier Rouge). Jak zwykle przeważają w nim obrazki z rzeczywistego życia. Ten kierunek, który sobie wzięła za główne zadanie młoda szkoła, objawia się zarówno u malarzy jak i poetów. Chwytać życie biegnące, i powszednie objawy jego, ubierać w formy artystyczne, nie łatwa to rzecz, i niezawsze pewna.

Popęd ku temu dali Anglicy, Francuzi poszli w ich ślady. Z pomiędzy poetów tych ostatnich, *Coppée* głównie się wyszczególnia, i umie z niepospolitym talentem, powszedni przedmiot upoetyzować. Z pomienionego tomika nowych jego poezyi, podajemy jeden utwór w przekładzie P. Seweryny z Żochowskich Duchińskiej.

SZTUKI PIĘKNE.

Malarstwo i Rzeźba.

II.

W ostatnim a zarazem pierwszym przeglądzie moim wystawy doszedłem do malarstwa rodzajowego. Dzisiaj zatem o niem pisać mi wypada—tym więcej, że dział to u nas najbogatszy i najobfitszy plon przedstawia dla sprawozdawcy.

Z ostatnich czasów mamy tu dwa znakomite nabytki t. j. obrazy p. Aleksandra Gierymskiego. Pan Gierymski świeżo powrócił z pod włoskiego nieba, przejął się niem i nabrał włoskiej świetności i ciepła kolorytu.

Dwa obrazy młodego artysty: *Gra w Mora* i *Rzymska Austerya* odznaczają się niezmiernie szerokiem traktowaniem przedmiotu i wysokiem wykończeniem. Światło szczególniej w drugim obrazie dowodzi wielkich na tem polu studyów i znakomitego talentu. *Gra w Mora* odznacza się większem realizmem w traktowaniu i dlatego dla nas mniej jest sympatyczną. Jak wiadomo gra ta polega na pokazywaniu na palcach pewnej ilości, przeciwnik natychmiast winien dodać drugą ilość, a ten kto do umówionej cyfry pierwszy dochodzi w ten sposób, wygrywa. Każdy kto widział scenę taką w Rzymie, lub Kalabryi, przyznać musi, że ją pan Gierymski, odtworzył z całą wiernością i to odtworzył pędzlem znakomitego artysty. Ale jest to odtworzenie, a sztuka wymaga, aby artysta tworzył i dlatego właśnie o wiele wyżej stawić muszę obraz drugi. Rzeczywiście w *Rzymskiej Austeryi* p. G., dał nam obraz ludu rzymskiego, ale w obrazie tym, lud jest takim, jak się przedstawił w sercu i głowie artysty. Samo zestawienie różnych warstw przekonywa, że to nie scena wzięta z natury, tylko rozmaite typy, które artysta po rozważnem rozmyśleniu, ugrupował i zestawił w jednę znakomitą całość. Nie mówiąc już o typach, które są bez zarzutu, w obrazie tym odznacza się niezmierna znajomość efektów słonecznych, jakie artysta umiał wywołać, rzuceniem promieni światła do izby na wpół ciemnej. Trudno jest rzecz tę opisać i sądzę, że jedno z pism ilustrowanych, zamiast zagranicznych znakomitości, mogłoby rozpowszechnić dzieło rodaka, w szerszem kole amatorów sztuki, gdy praca p. Gierymskiego ze wszech miar na to zasługuje.

Przyjemnym też nabytkiem z ostatnich czasów, był: *Dom ambasady polskiej w Rzymie* p. Karola Millera. Już sama myśl odtworzenia tego zabytku, zasługuje na uznanie w artyście; obraz zresztą miał wysokie zalety,

perspektywy i ciepłego kolorytu południowego. I ten również obraz nadawałby się bardzo do ilustracyi.

W dziale pejzażystów, odznacza się wspaniały krajobraz p. Świeszewskiego: *Brzegi Dunajca.* Znać, że artysta kocha naturę i z miłością wpatruje się w jej cuda. Bystre nurty rzeki, wartko płyną wśród gór, gdzie niegdzie pokrytych mgłą, którą rozpędza, znakomicie całość oświecające słońce. Jedynym zarzutem, jaki mam do zrobienia temu obrazowi, jest zbyteczne wykończenie drzew, na których przecież, widzianych z takiej odległości, stanowczo liści, ani gałęzi rachowaćby nie można. Jest to wada ogólna naszych pejzażystów, która jednak krajobrazowi stanowczo zaszkodzić musi w oczach rozważniejszego widza.

W dziale portretów, prym trzyma obecnie, portret *mężczyzny* p. Rodakowskiego, w którym cały efekt artysta oparł na niezmiernej znajomości światłocieniów. Pod względem tej znajomości właśnie, jak również i znakomitej charakterystyki twarzy, jak i prostoty układu, obraz pana Rodakowskiego, powinien by stanowić przedmiot studyów dla naszych portrecistów. Dodać muszę dla wiadomości czytelników naszych, że p. R. za obrazy swoje otrzymał w Paryżu, krzyż legii honorowej.

W salonie rzeźby przybył pomnik dla Jędrzeja Śniadeckiego przez p. Kucharzewskiego wykonany. W pracy tej znać wielką sumienność, ale trochę za mało fantazyi i artystycznego polotu. Wierne odtworzenie rysów, przy ubraniu Śniadeckiego w togę doktorską, nie jest jeszcze wszystkiem, bo nie daje pojęcia o jego działalności i zasłudze, gdy wymagania w tym punkcie łatwoby się zadowolić dały, ornamentacyą posągu chociażby w emblemata nauki, na polu której Śniadecki takie położył zasługi.

Kończąc to sprawozdanie wspomniećby mi wypadało o dwóch rozsądzonych konkursach, to jest malarskim i rzeźbiarskim. Wyznaję jednak otwarcie, że z zasady jestem przeciwny konkursom, a przedewszystkiem konkursom artystycznym, na zadany temat. Tego rodzaju więzy jak krępowanie są przedmiotem i rozmiarami pracy, niszczą bezwarunkowo polot artysty i podcinają skrzydła fantazyi. Kilkakrotnie już tego mięliśmy dowody z naszemi konkursami malarskiemi, które po większej części pełzną na niczem, lub bardzo słabe wydają owoce. Nowy dowód w tej mierze przyniósł i ostatni konkurs. *Odwiedziny Zamojskiego w Czarnolesiu* nie natchnęły nikogo do poważniejszej pracy, a trzy nadesłane malowidła, nie zyskały uznania sędziów konkursowych, i tem bardziej poważnego rozbioru wywołać nie mogą.

Z dwóch nadesłanych alegorycznych postaci Wisły na konkurs rzeźbiarski, premium otrzymała praca p. Klossa, przedstawiająca matkę rzek naszych w alegorycznej postawie nadobnej dziewicy, choć może zanadto sztywnej, w otoczeniu emblematu produktów spławianych. Druga praca odznaczająca się nader wdzięcznym układem, młodzieńca, starca i górującej nad nimi młodej niewiasty (Dunajec, Bałtyk, Wisła) nie otrzymała premium z powodu niedostatecznych wymiarów, czy... czy już sam nie wiem dlaczego, gdyż według ogólnego zdania znawców, ze wszech miar na ten dowód uznania zasługiwała. *K. Z.*

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PREZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Jest jeden doskonały środek wykorzenienia wszystkich wad dziecinnych, środek zaiste lepszy od rózgi za źwierciadłem, od długich i krótkich peror i kazań, które rzadko kiedy na coś dobrego się zdadzą, a dzieci rozdrażniają, jest to zaspakajanie ochoty do pracy i ciągłych nowych zajęć, stanowiących właśnie, że tak się wyrażę, wrodzoną potrzebę dziecięcia.

Postaramy się rzecz tę dokładniej wyjaśnić. Zarzut czyniony ogólnie wszystkim dzieciom, że lubią niszczyć co tylko mogą pochwycić, jest bezzasadny i mylny. Dziecię czuje naturalny pociąg do twórczości. Zepsucie zabawki lub jakiego sprzętu, okazuje w niem chęć do przeistoczenia onego przedmiotu, do zrobienia z niego czegoś nowego—z tej więc wrodzonej chęci należy korzystać, a zwracając ją na dobrą drogę—użyć jej ku większemu rozwojowi dziecięcej inteligencyi. Ta chęć tworzenia objawia się przedewszystkiem w zabawie. Dziecko bawiąc się, najprędzej się rozwija, i żebyśmy chcieli zastanowić się i pilniej zbadać naturę dziecięcą, dostrzeglibyśmy w każdej jego zabawie myśl poważną —dążącą do zbadania każdego przedmiotu i przerobienia go podług swego pojęcia. Otóż matki zważcie, jak Bóg w swojej mądrości ułatwił wam ten święty obowiązek wychowania dziatek waszych—umiejcie tylko skorzystać z każdego światła, które wam samo dziecię podaje, a wychowanie jego nie wyda się trudnem i przechodzącem siły wasze.

Wesołość dziecka jest dobrym gruntem, na którem każde zajęcie się przyjmie i każde pożytecznem się stanie. Starajcie się więc utrzymywać to usposobienie w dzieciach, a nie zagłuszajcie go ciągłemi napomnieniami, i moralnemi naukami, które jednym pospolicie skutkiem są uwieńczone, t. j. tym, że dzieci dziczeją i drżą na głos rodziców i nauczycieli. Ale wracając do poprzedniego zadania, zapytacie jakie to są te praktyczne zabawy, które zajmując dzieci i umysł ich rozwijając, nie zostawiają im czasu, na psucie i łamanie droższych sprzętów?

Podług metody froeblowskiej, składają się one z rozmaitych figurek wystruganych z drzewa, za pomocą których dzieci budują domy, wznoszą miasta, robią meble, powozy i wszelkiego rodzaju przedmioty. Figurki te, i w ogólności, każdy kwadracik drzewa opatrzony numerem składa się razem z innemi i dzieci powoli przez zabawę uczą się rysunku, poznawania liczb, budownictwa i składania najrozmaitszych innych przedmiotów, tłómaczenie których w teoryi, zabierałoby dużo czasu rodzicom i nauczycielom i ciężko by też przez dzieci było pojmowane; gdy przeciwnie przez praktykę dochodząc same składu każdego przedmiotu, z łatwością zachowują go w pamięci.

Przytoczyliśmy tu jako przykład, jednę grę froeblowską, w dalszym ciągu tej pracy pomówiemy o nich obszerniej, a tymczasem zwracamy jeszcze uwagę rodziców na to, że dziecko małe można zająć najrozliczniejszemi drobnostkami, dobrej chęci tylko i cierpliwości do tego potrzeba, a starania wasze drodzy czytelnicy, najświetniejszym zostaną uwieńczone skutkiem.

Jan Paweł Richter był poprzednikiem Froebla, dlatego jedynie przytoczyliśmy, jego zdanie ze sławnego dzieła o edukacyi „Lewana“ żeśmy upatrywali wiele duchowego pokrewieństwa z naszym mistrzem który biorąc właśnie w dzieciach pociąg do twórczości, za pole swego działania, zbudował na niem swoję teoryą—i zastosował ją do pojęcia wszystkich. My zaś, trzymając się tej jego zasady, że „w pokojach dziecinnych odradzają się całe państwa,“ pracujmy szczerze nad umysłami dziatek naszych, a nigdy nie pożałujemy poniesionych trudów.

ROZDZIAŁ IV.

Wychowanie moralne.

Pestalozzi słusznie uważa, że wszystkie najważniejsze cnoty, jak miłość, wiara, wdzięczność, miłość bliźniego, cierpliwość, posłuszeństwo, sumienność i poczucie religijne—tylko matka może wpoić w dziecię i to w pierwszych latach jego życia. Ona daje mu poznawać całą piękność tych cnót chrześciańskich, ona jedna uczy je, aby wszystkie swoje myśli i żądania zwracało do Boga. W poprzednich rozdziałach wspominaliśmy o rozwijaniu uczuć miłości, uległości i ufności; tu dłużej się nad niemi zastanowimy.

Matki, uczcie dziatki wasze miłości, to jest, kochajcie je same!

Dziecię, które od chwili przyjścia na świat jest otoczone miłością, które czuje, że każde jego poruszenie, każdy uśmiech, witane i przyjmowane są z radością, takie dziecię prędzej się rozwija i z zaufaniem do wszystkich się zbliża. Spojrzyjcie na dziecię kilkomiesięczne, do wszystkich się uśmiecha, do wszystkich idzie na ręce, z jakim przymileniem, zdaje się od wszystkich żądać tylko pieszczot; dziwicie się dobremu charakterowi tej małej istoty, jej kochającemu sercu, a w rzeczy samej pochodzi to jedynie z uczucia miłości, którem jest ciągle otoczone.

Dla rodziców prawdziwie swe dziecię kochających, żadne inne dziecko nie jest tak miłem i pięknem jak ich własne: *nasze dziecko* jest to zwykle aniołek w ludzkiej postaci; szczęśliwi rodzice rozbierają w myśli wszystkie przymioty tego aniołka, i porównywając je z innemi, uznają iż jest bez porównania lepsze, ładniejsze i milsze, od dzieci znajomych i sąsiadów.

Ale dlaczegoż z pomiędzy tylu milionów aniołków, tak mało ich wychowuje się na pociechę Bogu i ludziom; dlaczego z pomiędzy tylu zadziwiających początkowo i najprzeróżniejszych talentów, widzimy tak mało ludzi genialnych, lub utalentowanych. Odpowiedź na to łatwa: oto rzadko kiedy kochający rodzice umieją dobrze i rozsądnie prowadzić swoje dzieci. Widzę zdaleka, szanowni czytelnicy, jak się oburzacie na to zdanie wypowiedziane bez najmniejszych ogródek; posądzicie mnie, iż jestem tak zarozumiałą, że sądzę, iż sama jedna tylko na całym świecie potrafię dobrze wychowywać dzieci. O nie, do tej doskonałości pretensyi nie mam, ale ponieważ każdemu jest dozwolono swoje zdanie wypowiadać, więc i ja proszę o pobłażanie. Jeżelim tak stanowczo odzywając się o ogólnym sposobie wychowania dzieci, zadrasnęła czyjąkolwiek miłość własną, postaram się w niniejszym rozdziale lepiej wyjaśnić to zdanie, z którem jeżeli nie wszyscy, to bezwątpienia większa część czytelników się zgodzi.

Otóż rodzice dzielą się na dwie kategorye. Jedni zaślepieni nie widzą w swych dzieciach żadnych wad, czynią zadosyć najmniejszemu ich życzeniu, i wymagają, ażeby służący przyjaciele domu, oraz dobrzy znajomi, w niczem się tym drogim aniołkom nie sprzeciwiali. Drudzy znowu z wielkiej, a źle zrozumia-

nej miłości ku dzieciom, surowo karcą najmniejsze ich przewinienie, podług rad Salomona „nie pokazują nigdy łagodnej twarzy dziecięciu swojemu," z bojaźni ażeby to dziecię nie pomiatało niemi, i wymagając od tych drobnych istot pewnego rodzaju doskonałości, oburzają się na każde ich uchybienie, za pierwszem nieposłuszeństwem, lub kłamstwem, tracą dla nich serce, wyziębiają swe rodzicielskie uczucie i bezprzestanku surowo je karzą. Dzieci, rzaś ze swej strony, pozbawione miłości macierzyńskiej, przywykłszy w rodzicach i nauczycielach upatrywać tyranów, znęcających się nad niemi, kłamią z bojaźni kary, stają się ponuremi, i uczą się fałszu i krnąbrności. Postać ich wyraża ciągłe przelęknienie—oczy biegające i chcące uniknąć surowego wzroku matki lub ojca nabierają wyrazu przebiegłego, badawczego. Dziecię tak prowadzone, umysł ma ciągle natężony, gdyż śledzi za wyrazem twarzy rodziców i podług tego termometru bawi się mniej lub więcej swobodnie—odważa się na jakąkolwiek nieśmiałą prożbę — jeżeli spostrzeże, że matka jest w dobrym humorze, milczy zaś pokornie, skoro wyraz twarzy srogi i nieugięty, nie daje mu nadziei, że prożba łaskawie przyjętą i wysłuchaną zostanie.

Podobne dzieci, które nie znały uciech właściwych swojemu wiekowi, rozwijają się tępo, i w ogóle, przez cały ciąg życia, zostają nieśmiałemi, ponuremi, a co gorsza podejrzliwemi, nikomu nie ufają, ludzi się boją—same w sobie zamknięte, nigdy przyjaciół pozyskać nie mogą.

I któż temu złemu jest winien, jeżeli nie rodzice, którzy przez miłość wyegzaltowaną—widząc w dziecku ideał tylko wybujałej imaginacyi, żyją w tem zaślepieniu, tymczasem życie powszednie pokazując im dziecię słabe, podlegające chorobom, dolegliwościom, a z tego powodu często kapryśne, nieposłuszne, powoli się rozwijające, zniechęca ich ku temu słabemu stworzeniu. Rozpaczając nad nieskończoną różnicą między ideałem i rzeczywistością—i gniew swój dają uczuć właśnie tym biednym istotkom, które zwichnięciem całego swego życia, pokutować muszą, za szaleństwo swych rodziców. Podobni ojcowie i matki, nie zasługują na słodką nazwę jaką noszą, gdyż dzieci swych wcale kochać nie umieja, a hołdują tylko swojemu bóstwu, szalonej pysze i wolą łamać i burzyć wszystko co jej staje na zawadzie, niż z miłością i pobłażaniem badać charakter dziecięcia, i pracować nad jego wykształceniem.

NIEBIESKA SUKIENKA,

POWIASTKA.

PRZEŁOŻYŁ Z FRANCUSKIEGO

B. Pohorecki.

I.

W wagonie.

Maszyna parowa przeciągłym świstem dała znak odjazdu.

Wagony poruszyły się z miejsca, a sprzedający gazety i książki oddalili się od drzwiczek.

Podróżni starali się jak mogli najwygodniej umieścić na swych siedzeniach.

Nagle usłyszano jakby sprzeczkę i głos:

— Trzymajcie go, niepozwalajcie wchodzić!

I zrobił się wielki hałas na chodniku.

Jeden z podróżnych chcąc się dowiedzieć o przyczynie tego zamieszania, wysunął swój nos za drzwi wagonu, lecz pojawienie się drugiej twarzy z tamtej strony wagonu, zmusiło go do odwrotu.

— A gałgany! zawołał z gniewem nowoprzybyły, niechcecie mnie puścić dlatego, że się o dwie minuty spóźniłem? Ja wam pokażę z kim macie do czynienia!

I bez ceremonii intruz otworzył drzwi, wszedł do wagonu i rozsiadł się szeroko na jednem z miejsc niezajętych.

Krzyki oficyalistów ucichły w dali.

— Łatwy sposób złamania karku, mruknął podróżny, który wysunął nos za drzwi wagonu.

Cały ten wypadek wydarzył się w daleko krótszym przeciągu czasu, niż ten, jakiego było potrzeba aby go opowiedzieć; tymczasem pociąg pchany siłą pary, przebiegł już około dwóch dróżników, biedaków, który za tysiąc franków rocznie, nie mając nawet czasu swobodnego ich użycia, zmuszeni są czterdzieści razy dziennie dawać sygnały na znak bezpieczeństwa. Doprawdy, lepiej byłoby powiesić się.

Opóźniający się młody podróżny, który naraził się na tak jawne niebezpieczeństwo, wdzierając się do wagonu, rozgościł się w nim nareszcie. Blade czoło i rozszerzone nozdrza świadczyły o jego gniewie. Lecz prawie nagle, twarz jego przybrała wyraz spokojniejszy, gniew zniknął, a młody człowiek nieważając na swoich sąsiadów, wybuchnął głośnym śmiechem.

Potem zaczął się pilnie przypatrywać otaczającym go osobom.

II.

Fizyognomia.

Sam on posiadał jednę z tych twarzy na których oko dłużej się zatrzymuje. Oto rysopis:

Wzrostu miernego, brunet, z oczami czarnemi, o długich rzęsach — jednem słowem, z oczami—o jakich lubią marzyć młode panny. Brwi jakby nakreślone pędzlem mistrza, znamionowały człowieka stałego i odważnego; nos orli, usta wąskie nieco impertynenckie, ocienione małemi, zalotnemi wąsikami; postawa i poruszenia ciała pełne zaniedbanej dystynkcyi; ubranie eleganckie.

Był to młody i bardzo przystojny Francuz.

Około niego mało znaczące osoby. Dwaj kupcy — podobni do wszystkich kupców—podróżny który wysunął nos za drzwi wagonu, zapewne prawnik w czarnym fraku, z tabakierką, z laską, w okularach; student udający się pewno na wakacye do domu i patrzący zazdrosnem okiem na młodego podróżnego; jakieś indywiduum z wielkiemi podstrzyżonemi wąsami, w szerokich pantalionach, z ostrogami i nieznaną wstążeczką przy guziku; typ podobny wszędzie się spotyka.

Nakoniec, naprzeciw pustego miejsca, uwydatniała się szeroka i dziwaczna głowa. Właściciel jej mógł śmiało mieć około ośmiu stóp wysokości. Szeroki wplecach, otyły, w obszernem, źle uszytem siwem ubraniu. Nad jego bladą twarzą wznosiła się jedwabna chustka, ukrywająca włosy płowe, krótko ostrzyżone. Bez zarostu, rzęsy prawie białe, nos duży i spiczasty, wargi grube i blade, oko wielkie, zielonawe; w całej jego osobie malowała się jakaś bojaźliwość, niezgrabność i ociężałość nie do uwierzenia. Był to bogaty holenderski baron, pan Van Coppenaël.

Młody brunet umieścił szkiełko w lewem oku, chcąc się dokładnie przypatrzeć bladej twarzy człowieka północy; egzamen ten jeszcze więcej zmieszał—jeżeli to było możliwem, godnego Holendra, którego twarz z bladej, zrobiła się fioletową. Puste i swawolne myśli, śmieszne wspomnienienia z Grandville i ze dworu p. Geoffroy Saint-Hilaire, przebiegały po lekkiej głowie młodego człowieka. Koniecznie mu się zdawało, że z nozdrzy Holendra widzi wystające dwie wiązki pietruszki.

Napatrzywszy się do woli swemu towarzyszowi podróży, wyjął z kieszeni piękne portecigare i niepytając o pozwolenie, zapalił cygaro. Nikt nie żalił się na tę swobodę, tylko jeden z kupców, otworzył okno, znajdujące się tuż przy nim.

Pociąg biegł dalej.

III.

Podróżna.

Na pierwszej stacyi, konduktor otworzył drzwi i wprowadził jakąś panią z dzieckiem. Mówiliśmy że jedno miejsce było wolne.

Młody podróżny rzucił cygaro.

Ta pani była w żałobie. Ubranie jej oznaczało niedostatek, lecz postawa była przyzwoitą. Pod jej czarnym słomianym kapeluszem, zabczpieczonym woalką, oczy wpadłe i podsiniałe, świadczyły o głębokim smutku i łzach przez nią wylanych.

Dziecię jej, skromnie choć cokolwiek lepiej ubrane, doszło do lat, w których dzieci płacą już za całe miejsce w wagonie. Trzeba było widocznie długo spierać się z koleją służbą, aby zapłacić tylko za jedno miejsce. Kobieta umieściła dziecię na kolanach i dała mu kawałek czekolady obwinięty w papier. Dziecię niedbale gryzło czekoladę i i przyglądało się wspaniałej panoramie zmieniającej się co chwila w oknie, a jego małe nóżki, odbijając się o ścianę wagonu, dotknęły parę razy szerokich pantalionów pasażera z wielkiemi wąsami, który odepchnął je z gburowatą niecierpliwością. Matka przeprosiła za dziecko,—na co człowiek z wąsami nie raczył wcale odpowiedzieć, — i upomniała małego, aby był uważniejszym.

Lecz w parę minut póżniej, dziecię które już zapomniało o przestrodze i któremu źle było siedzieć na kolanach matki, z trudnością go trzymającej, znowu dotknęło nóg człowieka z wąsami....

IV.

Kłótnie.

Ten zmarszczył czoło i zaczerwienił się z gniewu. — Matka znowu przeprosiła, lecz osobistość ozdobiona nieznaną wstążeczką, nie przestawała okazywać swego niezadowolenia w wyrazach niezbyt grzecznych.

Jeden z kupców rzekł półgłosem do drugiego:

— Już to prawda, że nie jest przyjemnie dla podróżnych dozwolić dziecku podczas trzydziestu mil trzymać trzewiki dziecka na swoich nogach.

Matka umilkła, wiedząc że wszystko coby mogła powiedzieć, powiększyłoby tylko rozdrażnienie podróżnego z wąsami.

Co widząc Holender, siedzący na przeciwko niej, nic nie mówiąc wziął dziecko, umieścił na swoich kolanach i zaczął się z niem pieścić. Matka podziękowała mu wzrokiem wymowniejszym od słów; nie chciała żeby się trudził jej ruchomym ciężarem.

— Pozwól, pozwól pani— rzekł Holender z wymową cokolwiek utrudnioną.

— Oto poczciwy człowiek!—rzekł do siebie młody podróżny, dotąd neutralny.

— Jeżeli się nie ma środków na opłacenie dwóch miejsc,—mówił dalej niegrzecznie człowiek z wąsami,—to jedzie się trzecią klasą.

— Czy prędko pon skończysz nudzić nas?—zawołał zaczepnie i wzniośle młody człowiek.

Człowiek z wąsami zbladł. Matka dziecięcia zadrżała ze strachu.

— Czy to do mnie pan mówisz?

— Do pana.—Jesteś pan grubijanin.

Człowiek z wąsami z bladego stał się karmazynowym.

— Wyrzucę pana za okno! — zawołał zakląwszy.

I chciał uskutecznić tę pogróżkę, gdy Holender nie puszczając dziecka, które trzymał w prawej ręce, schwycił swą lewą szeroką ręką ramię człowieka z wąsami i zmusił go aby usiadł.

— Puszczaj mnie do dyabła!—zawołał tenże. Zgniecież mi rękę!

— Puść pan, puść—rzekł młody brunet.— Nie ma się czego obawiać.

I wyjmując swą kartę wizytową, rzucił nią w twarz swemu przeciwnikowi—mówiąc:

— Masz hultaju!

Człowiek z wąsami podniósł kartę, która upadła mu na kolana.

— Wice-hrabia Rudolf de Frenays... Zobaczymy się panie!—rzekł zmarszczywszy czoło.

— Kiedy pan chcesz—*jeżeli chcesz*—odrzekł młody człowiek z zuchwałym uśmiechem.

Dwaj kupcy zamienili bojaźliwe spojrzenie.

V.

Stacya Etampes.

— Jeżeli panowie chcą wysiąść i posilić się, rzekł konduktor, otwierając drzwi, — macie panowie dziesięć minut czasu.

Pociąg przybył do Etampes; połowę drogi przebyto.

Człowiek z wąsami wysiadł najpierwszy.

— Pani—rzekł Rudolf — jeżeli pani życzy sobie wysiąść, prosiłbym o pozwolenie towarzyszenia jej.

Grzeczna odmowa.

— A pan wysiądzie także?

— Tak—odrzekł Holender unosząc dziecko.

— Niech się pan nie trudzi moim synkiem. Zanadto panu robi kłopotu—rzekła matka.

— Zje ze mną kawałek ciasta, nieprawda mój—*coco?*...—odrzekł holender:

Matka nalegała, lecz chłopczyk uczepił się swego amfitryona.

Gdy wyszli z wagonu, zacny Van Coppenaël postawił chłopca na ziemi, i wziął go za rękę.

Rudolf de Frenays wziął bez ceremonii za drugie ramię Holendra i skierowali się ku restauracyi,

Zaledwie usiedli, Holender wyjął z kieszeni wielką porcelanową fajkę i zapalił ją pośpiesznie.

— To dobra rzecz!—rzekł z upodobaniem, otaczając się gęstym obłokiem dymu, jak bóstwo olimpijskie; — nie paliłem od samego rana.

— Dlaczego pan w wagonie nie pali?—zapytał go Rudolf.

— O!.... bałem się naprzykrzać komu.

Rudolfowi coraz więcej zaczynał się podobać jego nowy przyjaciel. Taka dobroć, łagodność, połączona z siłą fizyczną zachwycała go; zresztą Rudolf był w wieku łatwym do entuzyazmu.

— Czy pan mieszka w Orleanie czy w Paryżu?—zapytał Holender.

— W Paryżu—odrzekł—lecz dość często bywam w Orleanie.

— Jeżeli w jakich interesach, w których mógłbym być pomocnym panu—ponieważ jesteś, jak mi się zdaje, cudzoziemcem, a przytem jestem panu wielce obowiązanym—rzekł śmiejąc się, — proszę uważać moję rodzinę i mnie samego zawsze gotowymi na pańskie usługi.

— O! dziękuję—rzekł Von Coppenaël. Bardzo lubię jeździć koleją żelazną, oto wszystko, to mnie bawi.

W Holandyi zaś, nie mamy jeszcze kolei żelaznej.

— Byłem głupi, odrzekł Rudolf, że odrazu nie domyśliłem się, żeś pan jest Holender, wziąłem pana za Niemca.

Van Coppenaël nie zrozumiał. Musimy tu zrobić małą uwagę, że zarumienił się nieco odpowiadając Rudolfowi co mu się często zdarzało, jak zobaczycie później.

Rudolf zaś, osądził, że w tych ciągłych podróżach Holendra musi istnieć jakaś druga przyczyna, której mu ten nie chce wyjawić. Chciał więc ostrożnie wybadać go pod tym względem.

Tymczasem chłopiec pochłonął już jeden koszyczek ciastek.

Holender zażądał drugiego.

— Pan go zadusisz tem ciastem! zawołał Rudolf.

— O! nie, odrzekł Van Coppenaël. Dzieci powinny jeść tyle ile chcą i wszystko co chcą. To je wszystystrzymuje od łakomstwa.

Rudolf nie chciał się spierać o tę teoryą. Nie mógł się jednak powstrzymać od śmiechu, przypominając sobie odpowiedź nieboszczyka Katcomba oberżysty angielskiego, który gościowi żądającemu serwety, odrzekł:

— Więc pan tak nieporządnie jadasz?

VI.

Muzyka Holendra.

Chłopiec usługujący zajęty był przy innych dość licznych gościach. Panna siedząca za bufetem, sama przyniosła ciastka.

Jako piękność, była mało znaczącą: włosy płowe z odcieniem rudawym, spojrzenie łagodne, postawa skromna, jedna z tych kobiet, które w całem swojem życiu, nie zwrócą na siebie uwagi przechodniów.

Rudolf zauważył, że Van Coppenaël nie spuszczał z niej wzroku i z upodobaniem przypatrywał się jej ruchom.

— Cóż u licha wpatrujesz się pan tak pilnie w tę małą? spytał go ze śmiechem Rudolf. Nie jest przecież ładną.

Holender widocznie zmieszał się.

— Przepraszam, że tak naiwnie wyrażam swą opinią, o osobie, którą się pan zdajesz zajmować, gdyż sądzę....

— Nie zajmuję się nią wcale, odparł dość flegmatycznie Coppenaël—lecz blisko od dwóch miesięcy jak jeżdżę tą drogą, zawsze widzę tę pannę ubraną w niebieską suknię—i zawsze czystą.

Rudolf zaczął się śmiać.

— Trzeba tylko pana, aby zwracać uwagę na podobne rzeczy.

— Lecz zdaje się, że wsiedają do wagonów. Śpieszmy się, żeby nas pociąg nie odjechał.

Wstali—i Holender napchał kieszenie dziecka ciastkami.

— Gdzie pan wysiada w Orleanie? zapytał go Rudolf kierując go ku wagonom.

— W hotelu Loary.

— To zadaleko. Mój powóz będzie czekał na mnie przy dworcu. Czy chce mi pan zrobić przyjemność dozwalając odwieść się do domu?

— Bardzo chętnie, odrzekł Van Coppenaël.

Gdy pociąg ruszył z miejsca.

— Patrz pan! zawołał Holender, ten pan nie wsiadł z nami.

— Ba! odrzekł Rudolf niedbale.

— Zapewne nie podobało mu się w naszem towarzystwie, rzekł do wicehrabiego jeden z kupców.

— Panie, nie mam honoru mówić do pana, odrzekł zimno Rudolf.

Kupiec umilkł—zapewne już ostatecznie.

Rudolf był trochę zagniewanym na siebie za przykrą odpowiedź, zauważył bowiem na grubych ustach Holendra jakby przyjacielską wymówkę. (*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— Pan Tabulewicz, oficer marynarki, wynalazł **nowy motor** dla poruszania łodzi, będący dotąd sekretem wynalazcy. Wiadomo tylko, iż nacisnąwszy dłonią wystającą część jakiejś nieznanej dotąd maszyneryi, łódź zostaje wprawioną w ruch bardzo szybki; odpowiedniemi poruszeniami dłoni, możemy łodzią dowolnie kierować, choć łódź pana Tabulewicza nie posiada ani steru, ani wioseł, ani żagli. Wynalazca po należytem wypróbowaniu swojego wynalazku zamierza go przedstawić specyalistom (Nowosti).

— **Wiestnik Ewropy** w pierwszym tomie za miesiąc styczeń 1875 roku, zamieścił artykuł pana J. A. Popowa, pod tytułem: „Wolne miasto Kraków“ (1815—1846).

— Niejaki p. Millar w Londynie wynalazł nową **maszynę do składania czcionek,** której mechanizm ma być bardzo prosty i nie łatwo psujący się. Za jej pomocą wprawny zecer może złożyć w ciągu jednej godziny cztery tysiące czcionek. Szybkość składania zależy od zręczności pracowników. Używać można tej maszyny do każdego rodzaju druku.

— W dnin 27 stycznia 1875, **Uniwersytety niemieckie** obchodziły uroczystość stuletniej rocznicy urodzin znanego filozofa Schellinga.

— **„Ruski Mir”** donosi, że kilku petersburgskich malarzy zamierza w ciągu nadchodzącego lata odbyć podróż artystyczną po Rosyi. Celem wycieczki będzie zebranie historycznych pomników i artystycznych zabytków rosyjskich, z których utworzonem zostanie album. Koszta podróży i następnie wydania albumu, ponosić ma jeden z amatorów i protektorów sztuki.

— **Największą biblioteką** na świecie jest paryska biblioteka zwana cesarską — liczy ona 2,077,571 tomów.

— Z powodu niemożebności zastosowania w tunelu przez **górę św. Gotarda** wachlarzy do wypędzania dymu i pary, starają się urządzić maszyny poruszane za pomocą ciśnienia powietrza i mające służyć tylko do przeprowadzenia pociągu przez tunel.—Tunel przez górę Cenis posiada takie wachlarze, które będąc w ciągłym ruchu wyprowadzają zbierający się dym i parę, działają bardzo skutecznie. Tunel św. Gotarda jest zupełnie poziomy, dlatego też udządzenie wachlarzy nie może tam być przedsięwziętem.

— W Barbizon, niedaleko Fontaineblaeu umarł znany malarz francuzki **Millet,** którego obrazy dopiero przed dziesiątkiem lat publiczność uznała godnemi dobrej zapłaty. Do tego zaś czasu Millet pozostawał w położeniu graniczącem z nędzą. Urodził się w 1815 roku.

— **Towarzystwo sztuk pieknych w Petersburgu**, zamierza rozszerzyć swą działalność na inne miasta Cesarstwa i Królestwa. W tym celu urządza wystawy obrazów w Warszawie, Moskwie, Kijowie, Tule i innych miattach gnbernialnych, chcąc tym sposobem ułatwić artystom możność zbywania swych produkcyi.

— **Tyndal** wynalazł nowy przyrząd, przy pomocy którego można zostawać w największym dymie, przez stosunkowo dość długi przeciąg czasu nie doświadczając jego złych skutków. — Przyrząd ten powinienby oddawać swoje usługi strażom ogniowym.

— Pan **Wet,** członek towarzystwa geograficznego w Wiedniu, na posiedzeniu tagoż towarzystwa w dniu 22 stycznia, odczytał swą pracę „o ubytku wód w rzekach i źródłach środkowej Europy“. Na mocy badań swoich własnych i innych uczonych p. Wet obliczył iż od 50 lat wody w rzekach środkowej Europy, uległy znacznem obniżeniu. — Wiśle ubyło 26 cali, Elbie 17 cali, Renowi 24 cale, Dunajowi 55 cali, i t. d. Jeżeli z postępem lat miałby się stosunkowo powiększać taki ubytek wód w rzekach, to z czasem koryta ich zupełnie by wyschły a miejsce żyznych pobrzeży, zajęły by pustynie nie zamieszkałe przez żadnę istotę żyjącą—ni ozdobione żadną roślinnością. Jako przyczynę takiego stanu rzek, p. Wett podaje ogromne zniszczenia lasów, ktore zatrzymywały w sobie wiele wilgoci, wysuszenie wielu bagien i moczarów, jak również zmniejszenie ilości łąk, które także pochłaniają dużo wilgoci.

— Istniejące we Wrocławiu **Towarzystwo Przemysłowców** polskich, liczy obecnie 105 członków; w ciągu ostatnich 6 miesięcy, towarzystwo odbyło 27 posiedzeń. Podczas zimy akademicy miewali w towarzystwie odczyty naukowe i udzielali członkom lekcye w szkółce niedzielnej. — Towarzystwo posiada swoję bibliotekę.

Druk Burzyńskiego i Czernejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**